

chinalnie głową, podczas kiedy młoda dziewczyna mówiła dalej. W końcu miss Darnell dostrzegła to nienormalne zachowanie się jej opiekuna.

— Pan mi nie odpowiada? — wyrzekła bezsilnie — Czyżby pan już nie chciał dalej bronić sprawy swojego klienta? Jeżeli tak jest, to proszę mi to otwarcie powiedzieć. Jestem przygotowana na wszystko.

Ale pan Ormond milczał, jakgdyby nie słyszał słów młodej dziewczyny.

— Proszę pana — nalegała coraz niepewniejszym głosem, patrząc błagalnie na niego — Czy nie zechce mi pan dać odpowiedzi? Czy rzeczywiście nie zależy już panu na uwolnieniu pańskiego klienta?

Adwokat drgnął nagle, jakby ze snu zbudzony. Powstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po gabinecie, obrzucając młodą dziewczynę zimnym spojrzeniem.

— Klient mój — odezwał się nareszcie twarzą głosem — uznał za stosowne odebrać mi kierunek swojej sprawy. W tym stanie rzeczy nie mogę się sam narzucać ze swoją obroną.

Głęboka rozpacz odmalowała się na twarzy Beatryczy Darnell.

— Ah! — szepnęła zamierającym głosem — gdyby pan nie był przekonany o jego winie, nie opuszczałbyś go teraz i zostawiał na pastwę losu!

— Nigdy, w żadnej chwili nie uznałbym pana Morgan winnym w tej zbrodni — wyrzekł zimno pan Ormond.

— Nawet po tem, co panu w tej chwili powiedziałam? — zawołała gorączkowo młoda dziewczyna.

— Nawet w tej chwili.

— Wie pan jednak, że musiał się znajdować u swojej ciotki wtedy właśnie, kiedy została zamordowana!

— To jeszcze nie jest udowodnionem. A w każdym razie nie potwierdza, że on to zamordował panią Clemmens. — odparł pan Ormond z widocznym wysiłkiem.

— To prawda — wymówiła wolno Beatrycza, ulegając mimowoli przekonaniu adwokata. — Ale dlaczego w takim razie uciekał tak pospiesznie? Dlaczego powrócił natychmiast do Buffalo, bez widzenia się ze mną, tak, jak to było przedtem między nami umówione?

— Czy doprawdy nie znajdujesz odpowiedzi na to pytanie? — rzekł, uśmiechając się ironicznie pan Ormond — Czy mam cię objaśnić, Beatryczo?

— Więc pan wie?

— Chcesz wiedzieć — ciągnął dalej adwokat, unosząc się — dlaczego ten człowiek, dla którego byłeś gotową poświęcić całą swoją przyszłość i honor, nie zapragnął widzenia się z tobą?

— Mów pan, mów, proszę! — wyszeptwała błagalnie młoda dziewczyna, pożerając oczyma pana Ormonda.

— A więc dla tej przyczyny, że pan Morgan tak mało wierzył w ciebie, Beatryczo, że dziś, kiedy oskarżyłaś się publicznie...

— Dlaczego pan nie kończy? Czy chce mnie pan już zadreścić zupełnie?

— Bo to nie jest tak łatwe do wypowiedzenia, jak ci się zdaje. Zresztą, skoro żądasz prawdy. — Dlatego, że myślał, iż mówisz prawdę, Beatryczo!

— Ależ to nieprawdopodobne. Pan żartuje ze mnie. — wyszeptwała młoda dziewczyna błędnie — On! On mógł już wówczas posadzać mnie! Nie! Nie! To niemożliwe! Pan się myli, pan tego nie mówi, co myśli!

— Dalekim jestem od kłamstwa lub żartu — wyrzekł zimno pan Ormond — Pan Morgan tak mało starał się ukrywać swoje zapatrywanie w tym względzie, że zebrana na sali publiczność mogła sobie również z tego zdać sprawę.

— Nie! Nie! Niech pan tak nie mówi! — broń się rozpaczliwie Beatrycza.

— Posłuchaj mnie spokojnie, Beatryczo! Morgan od rozpoczęcia rozprawy uznawał cię za winną.

— Ale dlaczego, mój Boże, dlaczego?

— Tego wiedzieć nie mogę. Czy widział, lub też słyszał coś w dniu, w którym opuszczał mieszkanie pani Clemmens? Któż to wiedzieć może! Albo też nabrał tego przekonania, dowiedziawszy się o znalezieniu na miejscu zbrodni pierścionka, który ci ofiarował.

— Ależ ja go mu przecież wróciłam!

— Tak, lecz on mógł o tem nie wiedzieć. Faktem jest, że od chwili, kiedy doszła do niego wiadomość o zamordowaniu jego ciotki, nie przestał cię, Beatryczo, posadzać, a czas coraz silniej utrwalał jego podejrzenie.

— To okropne! — wymówiła młoda dziewczyna wzruszonym głosem — A jednak... jednak...

— Starałem się usilnie wpłynąć na zmianę jego

przekonania, ale nadaremnie. Czy to jednak nie wzruszające, nie godne podziwu — kończył pan Ormond ze zgrzyliwą ironią — że zostałeś tak wynagrodzony za twoje bezinteresowne poświęcenie?

Ale Beatrycza nie odpowiedziała już przejęta do głębi przeświadczeniem, że człowiek, którego tak gorąco kochała, wolny jest od ciężącego na nim hańbiącego zarzutu.

— — — — —

Zaczajeni za szerokim konarem drzewa, skąd mogli dosłyszeć tylko niektóre słowa toczącej się w gabinecie rozmowy, dobiegającej ich przez otwarte drzwi, Byrd i Hickory ujrżeli w pewnej chwili, jak miss Darnell, z rozpromienioną dziwnie twarzą, skierowała się ku wyjściu. Pan Ormond towarzyszył jej. Zeszli ze schodów niewielkiego peronu i okrążywszy gazon, skierowali się w ich stronę.

— Nadchodzą tu — szepnął Hickory, przechylając się do Byrda. — Mogą nas spostrzedz. Może lepiej zrobimy, ulatniając się wcześniej?

— Nie — odszepnął Byrd — zachowujmy się tylko ostrożnie, a nie zauważą naszej obecności. To drzewo nas dostatecznie ochroni, a zresztą, czuję jakąś nieprzepartą ochotę pozostania tutaj. Kto wie, może się jeszcze dowiemy czegoś ciekawego.

— Eh! Imaginacja podnieca pana.

— Cicho, już są blisko!

Okrążyli drzewo, tak, aby być najmniej widziani i nadsłuchiwać dalej.

— Nie mogę pozwolić, abyś tak odeszła odemnie, Beatryczo! — zabrzmiął głos pana Ormonda o dwa kroki od ukrytych detektywów. — Skoro nakazujesz mi ratować pana Morgan, życzenie twoje wypełnione być musi.

— Sądzę, że do tego niepotrzebny mój rozkaz, ale poczucie spełnienia obowiązku — odparła zimno młoda dziewczyna, przystając na ścieżce.

— Oh, to bardzo łatwe do powiedzenia! — zawołał żywo pan Ormond, zatrzymując się również. — Widzę teraz jasno, co uczyniłaś ze mnie, z twoją szatańską urodą, oziębłością i pogardliwymi minami! Zanim cię poznałem, Beatryczo, zajmowałem się gorąco moją pracą i w niej tylko znajdowałem przyjemność, kiedy teraz...

— Co teraz? — powtórzyła młoda dziewczyna, mierzając mówiącego surowym spojrzeniem.

— Drewnię mnie myśl, że ty możesz należeć do innego. Że jest ktoś, kogo ty kochasz, dla którego masz miły uśmiech i czarujące spojrzenie oczu. Ah! Beatryczo! Ty nie możesz zrozumieć, co to za męka! Drewnię już, jak potępieniec, chociaż wiem, że dla mnie jesteś już na zawsze stracona i nie mogę mieć żadnej nadziei zdobycia cię kiedykolwiek!

— Czyż nie jestem również stracona i dla niego — odparła miss Darnell z goryczą. — Czyż nie poświęciłam wszelką nadzieję szczęścia, czyniąc to, co uczyniłam dziś rano? Jesteśmy oboje w tym samym położeniu.

Nastąpiła długa chwila milczenia. W duszy pana Ormonda musiała się toczyć ciężka jakaś walka, bo oczy jego błyszczały gorączkowo i ciężki oddech podnosił jego piersi.

— Ty jeszcze będziesz szczęśliwą, Beatryczo — wyrzekł w końcu stłumionym przez wzruszenie głosem. — Jeżeli ktoś ma odpokutować tę zbrodnię, to nie Cyryl Morgan, ale ten...

Zanim pan Ormond mógł zdanie dokończyć, trzask silny rozległ się nad jego głową. Przecinając powietrze z głuchym świstem, olbrzymia gałąź oderwana od starego kasztana, potoczyła się ciężko na ścieżkę, spadając na rozmawiających. Byrd i Hickory skoczyli z pomocą. Kiedy po pewnej chwili udało im się z trudem gałąź odrzucić, Beatrycza Darnell powstała z ziemi nie zraniona wcale! Ofiarą, którą wybrał sobie los tym razem, był pan Ormond!

Pan Gryce.

Pan Ferris, powiadomiony o wypadku przez Byrda, przybył wkrótce do domu adwokata, zaniepokojony o zdrowie swojego przyjaciela. Kiedy zadzwonił do drzwi wchodowych, otworzył mu sam doktor Fradwell, który pierwszy zjawił się przy łóżku rannego.

— Umarł? — zapytał gorączkowo prokurator, widząc stroskaną i zamyśloną twarz koronera.

— Nie jeszcze... ale to stanie się niebawem!

— Więc niema żadnej nadziei?

— Żadnej!

— Co za okropny wypadek!

Obydwaj panowie udali się zaraz do pokoju, w którym spoczywał pan Ormond. Leżał na łóżku wysoko obstawiony poduszkami, nie dając znaku życia. Wokoło niego skupili się w milczeniu miss Darnell, siostra adwokata, Byrd i czwarta jakaś osobistość, której pan Ferris nie znał — w końcu lekarz, obecny przy śmierci pani Clemmens.

Każdy z obecnych zwrócił się do wchodzącego prokuratora, aby osądzić wrażenie, jakie na nim wywoła przed-tawiający się mu widok. Pan Ferris przystanął niedaleko łóżka i powiódł spojrzeniem wokoło, poczem przesunął ręką po czołe, jakgdyby chciał odpędzić myśl jakąś dręczącą go, w końcu spojrzał wymownie na doktora Fradwella i wyrzekł dziwnym głosem, podrażniając wymówione słowa:

— Nie po raz pierwszy, doktorze, asystujemy scenie podobnej, nieprawdaz?

Koroner poważnie skinął głową na znak zrozumienia. Zresztą wszyscy obecni ogarnęci nagle zostali tem samem wrażeniem. Wszyscy w tej chwili ze zrozumieniem myśleli o pani Clemmens, dogorywającej skutkiem zadanych przez mordercę ran, wokoło której, tak, jak teraz, skupili się w gorączkowem oczekiwaniu jakiegoś słowa rozwiązującego tajemnicę. Zapewne pomiędzy obecnym widokiem, a tamtym były pewne różnice. Skromnego domku wdowy nie było można porównać z bogatą i wytworną willą adwokata Ormonda, gdzie na każdym kroku przebiegał się dostatek i dobrobyt. Przy łóżu konającej wdowy pozatem brakowało obecności miss Darnell, która teraz, pochylona nad łóżkiem chorego, śledziła każdy oddech jego, każde drgnienie mięśni na jego pobladłej twarzy, ale pomimo tych drobnych różnic scena tak ludzko przypominała tragiczną chwilę śmierci pani Clemmens, że musiało to zwrócić uwagę każdego.

Na dużem, szerokim łóżu, ta sama figura sztywna, wyciągnięta. Głowa owinięta bandażami, oddech przyspieszony i nierówny, przerywany od czasu do czasu bolesną czkawką — obok młody doktor, z wyrazem twarzy skupionym i zamyślonym, zdawał się być gotów w każdym momencie do uczynienia gestu uroczystego, którym posłużył się wówczas, kiedy chciał oznajmić obecnym, że pani Clemmens odzyskuje już utraconą przytomność umysłu.

— Czy niema żadnej nadziei uratowania? — powtórzył machinalnie pan Ferris, zwracając się do koronera.

— Chwile jego są policzone. Rana jego jest identyczną z tą, jaką odebrała pani Clemmens.

— Naprawdę? To ciekawe.

— I tak, jak ona, odzyska może przytomność, ale żyć nie będzie. Organizm cały zaatakowany jest silnie.

— Jakimże sposobem Ormond uległ temu straszному wypadkowi? — badał dalej pan Ferris.

— Odprowadzał miss Darnell, która była u niego, do furty w parku, kiedy przechodząc obok jakiegoś drzewa, zostali oboje nagle przewróceni przez grubą gałąź.

— Ale miss Darnell nie została zranioną? — zapytał niespokojnie pan Ferris.

— Nie doznała nawet najmniejszego zadrażnienia. Można powiedzieć, że cudem jakimś nie uległa temu samemu wypadkowi, co ten biedny Ormond.

— Miss Darnell utrzymuje, że się jej nic złego nie stało — wtrącił się do rozmowy Byrd — ale wątpię, czy jest w stanie obecnie zdać sobie sprawę z tego. Niech pan spojrzy na nią. Zdaje się zapominać o tem, co się wokoło niej dzieje, tak zajęta jest stanem chorego. Rzechy można, że śledzi z najwyższem napięciem chwilę, w której odzyska przytomność umysłu, aby mógł dokończyć zdanie, które rozpoczął był mówić przed wypadkiem.

— Jakie zdanie? — zawołał pan Ferris — Więc pan był świadkiem rozmowy pana Ormonda z miss Darnell?

— Byliśmy ukryci, Hickory i ja, właśnie za tem samem drzewem, pod którem przystanął pan Ormond i w ten sposób mogliśmy usłyszeć część toczącej się rozmowy.

— A to zdanie? To zdanie? — pytał niespokojnie pan Ferris, czy zapamiętał je pan?

— Zdanie, o którym mówię, kończyło się słowami: „Jeżeli kto ma odpokutować tę zbrodnię, to nie Morgan, lecz ten, który“...

— Biedny Ormond! — zawołał pan Ferris — Więc jeszcze w ostatniej chwili bronił niewinności swojego klienta!

Zaledwie prokurator wypowiedział to zdanie, kiedy ranny poruszył się lekko na łóżku i długie westchnienie wybiegło z jego zsiniałych ust.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę w gorączkowem oczekiwaniu. Miss Darnell pobladła jeszcze silniej, a oczy jej błysnęły nienaturalnem światłem.

— To było zrzędzenie losu — szepnął umierający słabym głosem.

Ale natychmiast ciało jego drgnęło konwulsyjnie i ciężki przerywany oddech, wybiegający z jego piersi, ustał nagle. Miss Darnell, patrząc się dotąd uparczywie w twarz pana Ormonda, wyprostowała się i zawołała donośnym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi)